

# Hans Christian Andersen

## Coś

Chcę być czymś - mówił najstarszy z pięciu braci - chciałbym być pożyteczny na świecie; mogę zajmować nawet skromne stanowisko, ale niech tylko dobrze wszystko wykonam, a już będzie to coś. Pragnę robić cegły. Nie można się przecież bez nich obyć, będzie to już znaczyło, że zrobiłem coś.

- To twoje coś to jeszcze bardzo mało - mówił drugi brat - takie zajęcie jest prawie niczym, to praca czeladnika, którą równie dobrze mogłaby wykonać maszyna. Lepiej zostać murarzem, to już coś znaczy i tym pragnę być, zawsze to jakieś stanowisko. Można się dostać do cechu, stać się obywatelem miasta, mieć własną chorągiew i własną gospodę, a gdy wszystko dobrze pójdzie, będę mógł trzymać u siebie czeladników, będą mnie nazywali majstrem, a moja żona będzie panią majstrową. To już jest coś!

- Nie, to nic nie znaczy - powiedział trzeci brat. - Nie jest to żadne stanowisko. A istnieje w mieście tyle stanowisk wyższych od majstra. Możesz być dzielnym człowiekiem, ale jako majster zostaniesz tylko zwykłym prostakiem, jak to się potocznie mówi. Ja wymyśliłem coś o wiele lepszego. Pragnę zostać budowniczym, pragnę stworzyć coś, co ma wartość artystyczną, co zawiera jakąś myśl, pragnę zaliczać się do wysoko postawionych w państwie ducha; muszę wprawdzie zacząć od rzeczy najniższych, mówię to szczerze: muszę zacząć jako terminator u cieśli, nosić czapkę rzemieślniczą, choć przywykłem do noszenia jedwabnego kapelusza, prostym czeladnikom będę przynosił wódkę i piwo, a oni będą mi mówili "ty", będzie mi wprawdzie ciężko, a będę sobie wyobrażał, że to wszystko jest maskarada, a jutro zrzucę maskę. Jutro, to znaczy, gdy będę czeladnikiem, pójdę swoją własną drogą, inni przestaną mnie interesować. Wstąpię do

akademii, nauczę się rysować, zostanę architektem - to dopiero jest coś! To już dużo! Mogę zostać szlachcicem i jaśnie oświeconym, mogę otrzymać jeszcze o wiele więcej tytułów na początku i na końcu nazwiska i będę budował, i budował, tak jak inni budowali przede mną. To już jest takie coś, na czym się można oprzeć.

- Twoje coś jest dla mnie niczym - rzekł czwarty brat - nie będę chodził utartymi drogami; nie chcę być niczym echem, pragnę być geniuszem, pragnę być czymś większym niż wy wszyscy razem. - Stworzę nowy styl i dam nowy projekt gmachu, zastosowanego do klimatu, do materiału, jaki posiada nasz kraj, do ducha narodowego i wymagań postępu naszego stulecia. A potem dodam jeszcze jedno piętro na konto własnego geniuszu!

- Ale jeżeli nie zastosujesz się do klimatu i materiału, sprawa przybierze zły obrót - mówił piąty brat - gdyż ma to duże znaczenie. Cechy narodowe łatwo mogą się przerodzić w przesadną afektację, zaś stosowanie się do wymagań wieku może łatwo sprowadzić cię na złą drogę, jak się to często zdarza młodym. Widzę więc, że żaden z was nie zostanie właściwie czymś, chociaż tak myślicie. Ale róbcie, co chcecie, nie będę do was podobny; stanę poza tymi wszystkimi sprawami, będę krytykował to, co wy będziecie robili. W każdej rzeczy jest coś niewłaściwego, otóż ja to wynajdę i będę krytykował: to dopiero będzie na pewno coś! I tak też uczynił, a ludzie mówili o piątym bracie:

- Ten jest na pewno czymś. Ten ma dobrą głowę. Ale coś z tego nie wynika! - Właśnie w ten sposób był czymś.

Widzicie, krótka to historia, ale będzie trwała, dopóki świat istnieje. Ale co się stało dalej z tymi pięciu braćmi? Czy było z nich coś? Posłuchajmy dalej, bo z tego powstało całe opowiadanie.

Najstarszy brat, ten, który robił cegły, spostrzegł wkrótce, że z każdej cegielki, kiedy już jest gotowa,

toczy się mały grosik, wprawdzie tylko miedziany, ale wiele małych, miedzianych grosików razem tworzy srebrnego talara; a gdy nim zapukać do piekarza, rzeźnika lub krawca - do każdych drzwi, otwierają się one i ma się, czego potrzeba; oto co dawały cegły, niektóre z cegiełek kruszyły się na kawałki lub rozpadły się na dwie części, ale te również się przydawały.

Uboga kobiecina, matka Małgorzata, pragnęła wybudować sobie wysoko na nabrzeżu mały domek; najstarszy brat podarował jej wszystkie pokruszone cegły i parę całych, gdyż miał dobre serce, chociaż daleko nie zaszedł i tylko wyrabiał cegły. Biedna kobieta wybudowała sobie sama chatkę, która była wąska, jedno okno miała krzywe, drzwi za niskie, a słomiany dach również nie był szczelnie ułożony, ale pomimo to ochraniała ta chatka przed słońcem i niepogodą i roztaczał się z niej taki piękny widok na dalekie morze, które w całej swej potędze uderzało o nabrzeże; słone krople opryskiwały cały dom, który stał tam jeszcze, kiedy dawno już umarł i zszedł z tego świata ten, co cegły wyrabiał.

Drugi brat - ten potrafił porządnie murować - nie darmo uczył się tego rzemiosła. Kiedy się wreszcie wyzwolił, wziął węzełek i zaśpiewał rzemieślniczą pieśń:

Wędruję sobie, młody chwata,  
Domy chcę wznosić wszędzie,  
Choć bez pieniędzy, jestem rad,  
Gdy swoje mam narzędzie.  
A gdy powrócę w miły kraj,  
Gdzie mieszka ukochana,  
Tam szczęścia czeka piękny raj

I chaty własnej ściana.

I tak też się stało. Kiedy wrócił do miasta i został majstrem, wymurował jeden dom obok drugiego, całą ulicę; ulica ta wyglądała ładnie i była ozdobą całego miasta; wówczas to domy wybudowały mu

dom, który miał być jego własnością; ale w jaki sposób domy mogą budować? Zapytaj ich, na pewno ci nie odpowiedzą, ale ludzie wytłumaczą ci: "Tak, to prawda, ulica wybudowała mu domek!" Był to mały domek i miał tylko glinianą podłogę, ale kiedy tańczył po niej ze swoją panną młodą, podłoga stała się błyszcząca i wyfroterowana posadzką, a z każdej cegły w murze wytryskał kwiat; było to piękniejsze od najkosztowniejszego obicia. To był piękny dom i szczęśliwe małżeństwo. Chorągiew cechu powiewała przed domem, a czeladnicy i terminatorzy krzykali: "Niech żyje!" Tak, to było coś. A potem umarł. I to także było coś.

Po nim następował trzeci brat, budowniczy, ten, który był najpierw uczniem ciesielskim, nosił kaszkiet i biegał na posyłki, ale skończył akademię, został budowniczym, a wreszcie "szlachcicem i jaśnie oświeconym". Jego bratu, majstrowi murarskiemu, domy na ulicy wybudowały dom, a od architekta cała ulica otrzymała nazwę i najładniejszy dom na ulicy został jego własnością; to już było coś i on był czymś, nosił długi tytuł na początku i na końcu nazwiska, jego dzieci nazywano dziećmi z dobrego domu, a kiedy umarł, wdowa po nim była wdową z towarzystwa. To już jest coś! Nazwisko jego widniało na rogu i jak nazwa ulicy było na ustach wszystkich. To dopiero coś!

Po nim następował czwarty brat, geniusz, ten, który chciał stworzyć coś nowego, niezwykłego i wybudować prócz tego jeszcze jedno piętro dla siebie; ale nie udało mu się, spadł przy pracy i zabił się - wyprawiono mu wspaniały pogrzeb z chorągiewkami cechowymi, muzyką, kwiatami; w gazetach i na ulicy ogłoszono nad jego grobem trzy mowy pogrzebowe, jedną dłuższą od drugiej, co sprawiłoby mu dużą radość, gdyż lubił bardzo, kiedy o nim mówiono; na grobie postawiono mu pomnik; właśnie to tylko jedno własne piętro, jednak było to już coś.

Umarł więc jak trzech inni bracia, ale ostatni brat, ten, którego sąd był uczony, przeżył wszystkich braci; stało się tak, jak powinno było się stać, gdyż ostatnie słowo należało teraz do niego, a było to dla niego bardzo ważne, aby mieć ostatnie słowo. "To mądra głowa!", mówili ludzie. Ale oto i jego ostatnia godzina wybiła - umarł i dostał się przed furtę nieba. Przybywa się tam zawsze parami. I on także stał tam z drugą duszą, która pragnęła się dostać do nieba, a była to właśnie stara matka Małgorzata z domku na nabrzeżu.

- To chyba dla kontrastu przybyłem tu jednocześnie z tą nędzną duszą - powiedział ten, którego sąd był uczony. - Któż ty jesteś, kobiecino? Czy również chcesz się dostać do nieba? - spytał.

Staruszka dygnęła, jak tylko mogła najniżej, gdyż myślała, że to sam święty Piotr do niej przemawia.

- Jestem biedna staruszka, na świecie nie mam nikogo. Stara Małgorzata z domku przy grobli.

- A cóż to tam robiliście na ziemi?

- Prawdę powiedziawszy, nic nie robiłam na tym świecie, nic, co by mi mogło otworzyć furtę do nieba. Jeżeli pozwolą mi przekroczyć tę bramę, stanie się to jedynie w drodze wielkiej łaski.

- W jaki sposób opuściliście świat? - spytał ją, po to tylko, aby coś mówić, gdyż nudziło mu się stać tak i czekać.

- Doprawdy sama nie wiem, jak opuściłam świat. W ostatnich latach byłam chora i kiepsko się czułam. Nie mogłam po prostu dźwignąć się z łóżka i wyjść na taki mróz. Sroga była zima; ale teraz to już wszystko jedno. Przez parę dni nie było wiatru, ale zimno okropnie, jak wasza wielebność sobie pewnie przypomina: lód pokrył morze, jak tylko było sięgnąć okiem, i wszyscy ludzie z miasta wybiegli na lód. Były tam, jak to oni nazywają, "szlichtady" i tańce, zdaje się, grała muzyka i sprzedawano smakołyki. Leżąc w mojej ubogiej izdebce słyszałam to wszystko.

A kiedy już było pod wieczór i wzeszedł księżyc, ale nie jaśniał jeszcze w całym blasku, zobaczyłam z mego łóżka przez okno, na granicy morza i nieba, dziwną białą chmurę; leżałam i patrzyłam na tę chmurę i na czarny punkt pośrodku chmury, który rósł i rósł; wiedziałam, co to oznacza; jestem stara i doświadczona, chociaż nieczęsto zdarzało mi się widzieć ten znak. Znałam go jednak i ogarnęło mnie przerażenie, już dwa razy w życiu widziałam to i wiedziałam, że będzie straszna burza i wielki przyptyw morza, który zatopi tych biednych ludzi, co teraz piją, weselą się i tańczą, wszyscy byli przecież na lodzie, starzy i młodzi; któż miał ich ostrzec, skoro nikt nie widział i nie wiedział tego, co ja wiem. Przeraziłam się tak bardzo i życie we mnie wstąpiło na nowo od długiego czasu. Zwlekłam się z łóżka i zbliżyłam do okna, dalej nie mogłam się dowlec. Mogłam jednak otworzyć okno. Widziałam ludzi ślizgających się i skaczących na lodzie, widziałam barwne flagi, słyszałam krzyki wyrostków: "Hura!", śpiew dziewcząt i chłopców. A biała chmura z czarnym punktem wznosiła się wciąż wyżej i wyżej, zawołałam, jak mogłam tylko najgłośniejszym głosem, ale nikt mnie nie słyszał, bo byłam zbyt daleko. Wkrótce zerwie się burza, lód rozpadnie się na kawałki i wszyscy utoną bez ratunku. Słyszeć mnie nie mogli, a ja nie miałam siły, by się do nich dostać. W jaki sposób sprowadzić ich na brzeg? I oto Pan Bóg natchnął mnie myślą, abym podpaliła własne łóżko; niechaj lepiej spłonie mój dom, niżby tylu ludzi miało zginąć. Udało mi się podłożyć ogień, widziałam czerwony płomień - wydostałam się za drzwi, ale upadłam i leżałam tam nie mogąc się poruszyć; płomień wychylił się za mną i wzbił się przez okno wysoko w górę, na dach; ludzie zobaczyli ogień i przybiegli, jak tylko mogli najprędzej, aby mnie, biedną, ratować, gdyż myśleli, że się spalę żywcem; nikt nie został, wszyscy przybiegli, słyszałam, jak biegli, i słyszałam także, jak w powietrzu coś zaświstało; rozległy się huki, jak gdyby strzelano z ciężkich armat, przyptyw

podniósł kry lodowe, które rozpadały się na kawałki; ale ludzie zdążyli wydostać się na brzeg, gdzie leżałam w deszczu iskier; uratowałam ich wszystkich, ale nie zniosłam zimna i strachu - i oto dostałam się do bramy raj; mówią, że brama raj otwiera się i dla takich biednych ludzi jak ja. Co prawda nie mam już domu tam na dole, na nabrzeżu, ale to mi przecież nie daje prawa wstępu tutaj.

Wtem otworzyła się brama królestwa niebieskiego i anioł wprowadził Staruszkę; zgubiła przed bramą małą słomkę z siennika, jedną z tych, które podpaliła, aby uratować tyle ludzi, źdźbło słomy przemieniło się w czyste złoto, w takie złoto, które rosło i wiło się w najpiękniejsze wzory.

- Patrz, co przyniosła ze sobą ta biedna staruszka! - powiedział anioł do tego, który sądził uczenie. - Cóż ty przynosisz? Wiem dobrze, że nic nie robiłeś, że nie zrobiłeś nigdy nawet jednej cegielki; gdybyś się mógł wrócić i przynieść choćby jedną cegielkę zrobioną przez siebie, byłaby zapewne nie do użytku, jednak dobre chęci to zawsze jest coś, ale nie możesz się wrócić i ja nie mogę dla ciebie nic zrobić!

Wówczas biedna duszyczka kobiety z domku na nabrzeżu zaczęła za niego prosić:

- Jego brat robił sam cegły i podarował mi wszystkie te kawałki cegieł, z których skleciłam moją biedną chatkę, a dla mnie, ubogiej, była to wielka pomoc. Czyż te wszystkie okruchy i kawałki cegieł nie mogłyby bratu jego zastąpić jednej cegły? Jest to dzieło łaski. Potrzeba mu jej bardzo, a tutaj jest przecież królestwo łaski.

- Twój brat, ten, którego miałeś w najwyższej pogardzie, ten, którego uczciwa praca wydawała ci się czymś niższym, daje ci teraz grosik otwierający królestwo niebieskie! - powiedział anioł. - Nie będziesz stąd wypędzony, otrzymasz pozwolenie, aby tu przed bramą stać i rozmyślać, jak mogłeś lepiej żyć tam na ziemi; ale do środka nie możesz dostać się

wcześniej, dopóki z twojego dobrego, choćby  
najdrobniejszego czynu nie powstanie coś!

"Ja bym to lepiej wyraził!" - pomyślał ten, który  
wszystko mądrze sądził, ale głośno nie odważył się  
tego powiedzieć, a to już było coś!